

Artur! Artur!

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2016.059>

Rok 1956, w którym rozpocząłem studia polonistyczne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, był rokiem szczególnym. Ba, śmiało rzec można – rokiem dość niezwykłym, nawet na tle całego burzliwego stulecia. Zaczęło się od zachwiania kultu Stalina w pamiętnym referacie Nikity Chruszczowa poprzez krwawe rozprawienie się z protestującymi w Poznaniu przeciw nieprawościom tzw. władzy ludowej aż po falę demonstracji i wieców, które wyniosły do władzy Władysława Gomułkę obiecującego społeczeństwu osądzenie błędów dotychczasowej ekipy. Kolejnymi wydarzeniami doniosłej wagi były: zbrojna interwencja ZSRR na Węgrzech, gdzie społeczeństwo za przykładem Polaków zdecydowało się upomnieć o swoje, oraz fatalna w skutkach interwencja w Egipcie państw Europy Zachodniej broniących swoich interesów w Suezie.

W Polsce objawiła się pełna determinacja w żądaniu demokratyzacji i rekompensaty krzywd wyrządzonych przez władzę będącą w stosunku służebnym wobec totalitarnego sąsiada. Ogólnokrajowe wrzenie nie ominęło uczelni wyższych, także na UMK. Tu również miały nastąpić znamienne decyzje i posunięcia. Na Wydziale Humanistycznym najistotniejszy był powrót do grona wykładowców odsuniętego przez stalinowców prof. Konrada Górskiego i uratowanie przed odsunięciem od bezpośredniego kontaktu ze studentami młodego docenta Artura Hutnikiewicza, w którego pracy badawczej i dydaktycznej upatrywano brak metody i postawy marksistowskiej.

Moje zetknięcie się z osobą Artura Hutnikiewicza, wtedy jeszcze docenta, poprzedzały opowieści o nim i jego dydaktycznych walorach, równające go w mojej młodszej wyobraźni niemal z legendarnym królem Arturem. Nie był jedyną postacią w tym naukowo dydaktycznym gremium, która zasługiwała na szacunek i poważanie, ale docent Artur, przynajmniej u mnie, budził sympatię pomieszaną z lękiem. Ten lęk to obawa, żeby jakąś wypowiedzią, ustną czy pisemną, nie zbłądził się przed osobą, na opinii której najbardziej mi zależało. A przecież był to człowiek, który nigdy nie pozwoliłby sobie na kpinę z kogokolwiek, a tym bardziej ze studenta. Także w sytuacjach, gdzie niejeden demiurg wiedzy takiej pokusie ulegał. Nietrudno było zorientować się, że wszelka złośliwość czy choćby

* Absolwent toruńskiej polonistyki, autor książki *Wszystko, co było – jest. Z dziejów pokolenia nieheroicznego* (Warszawa 2011). E-mail: jerzy.krukowski@gmail.com.

najmniejsza brutalność była obca naturze docenta Artura. Nieobce mu było za to subtelne poczucie humoru.



Spotkanie towarzyskie. Artur Hutnikiewicz czwarty od lewej, fot. Archiwum prywatne

Pamiętam, jak raz, już w trakcie seminarium magisterskiego, popisałem się dość niewydarzoną wypowiedzią. Miałem właśnie odczytać rozdział pracy magisterskiej na temat sztuki charakterologicznej w *Nocach i dniach* Marii Dąbrowskiej. – Chciałbym zaznaczyć – oświadczyłem przed rozpoczęciem czytania – że stopień trudności był w tym zadaniu dla mnie bardzo duży. Musiałem, oceniając tę sztukę, niejako wzniesić się ponad autorkę. – No nie, panie Jerzy! Niech się pan za bardzo nie wznosi – na to docent Artur. – Wystarczy skorzystać z wiedzy już nabytej. Zresztą wspólnie ocenimy pański wysiłek sprawiedliwie. W zespole zapanowała wesołość, ale i pożyteczne w tym wspólnym ocenianiu ożywienie.

Na kolejnych zajęciach jedna z koleżanek, co nieco zgrywsna Halinka M., dała popis efekowniejszy od mojego. Odczytała rozdział swojej pracy i jakoś nikt nie kwapił się z wypowiedzią. – No, proszę państwa! – z zachęcającym uśmiechem zwrócił się do seminarzystów Docent Artur. – Proszę nie chować swoich uwag dla siebie. Śmiało. To niczym nie grozi. – Oni się wystraszyli, panie docencie – na to delikwentka – bo zapowiedziałam, że jak będą ostro krytykować, to dam im w zęby. Przez moment w oczach docenta Artura dał się zauważyć lekki popłoch, niemniej jednak szybko zareagował: – Nie wierzę, aby pani miała być tak okrutna. Odwagi, proszę państwa! Gwarantuję państwu bezpieczeństwo.

Myszę, że docent Artur, nasz duchowy i intelektualny przewodnik, zdążył zorientować się, że po przełomowym roku 1956 ma do czynienia z inną młodzieżą niż ta stłamszona przez stalinizm, a pełne dotarcie do umysłu i emocji szczerze pragnących wiedzy jest realne.

Do spotkań z Arturem Hutnikiewiczem, od 1962 r. już profesorem nadzwyczajnym, nie miałem wielu okazji. Pierwsza nadarzyła się w 1965 r. w czasie zjazdu absolwentów polonistyki UMK. Wysłuchałem retrospekcyjnego, pełnego humoru i ciekawych faktów wystąpienia profesora, ale zamierzałem unikać bezpośredniego spotkania, gdyż niedawno porzuciłem zawód nauczyciela i czułem się jak dezterter. W końcu doszło do rozmowy

z obecną na zjeździe częścią naszej grupy seminaryjnej i musiałem zaspokoić ciekawość Profesora co do mojej kariery zawodowej. – Szkoda, szkoda, panie Jerzy – usłyszałem z ust Profesora. – Szkoda tej odrobiny wiedzy i dorobku, ale to dopiero początek drogi. Wierzę, że pan jeszcze wróci do zawodu.

Ano słowa okazały się prorocze. Odbwszy odyseję po obcych mi zawodach i osobliwych miejscach pracy, wróciłem do zawodu nauczyciela jako lektor języka polskiego dla obcokrajowców i ta praca dała mi nie tylko wiele satysfakcji zawodowych, ale i przez kontakt z ludźmi różnych kultur – poszerzenie wiedzy o człowieku. Nie musiałem już wstydzić się przed Profesorem, ale też nie miałem przez długi czas okazji do spotkań.

Spotkanie po latach odbyło się w okolicznościach smutnych, bowiem Profesor znalazł się w szpitalu. Jeszcze wtedy nic nie zapowiadało przyśpieszonego finału, więc zwróciłem się z prośbą o przeczytanie i krytyczną ocenę mojej pierwszej książki, jeszcze przed złożeniem maszynopisu w wydawnictwie. Miałem wiele wątpliwości, gdyż mój stosunek do słowa pisanego był prawie nabożny, a lęk przed popełnieniem grafomanii był jak lęk przed nekrofilia. Stąd mój debiut literacki nastąpił w tak zaawansowanym wieku. Nie miałem już okazji usłyszeć opinii z ust samego Profesora, ale przekazał mi ją kolega, Jerzy Maciejewski, który z Profesorem miał stały kontakt. Opinia była krótka: rzecz jak najbardziej nadaje się do druku. Tak ośmielony poczyniłem starania i moja opowieść *Vastra Skogen albo najazd Polaków na Szwecję* ukazała się na początku 2005 r. Niestety, nie mogłem się pochwalić swoim skromnym sukcesem przed Profesorem, gdyż już nas opuścił.

Sześć lat później wydałem następną opowieść (*Jerzy Krużdan, Wszystko, co było – jest*), a właściwie pierwszą część opowieści, nad którą pracowałem od 2002 r. Wspominam tu o tym dlatego, że w owej historii z lat młodzieńczych miałem okazję przywołać postać docenta Artura Hutnikiewicza, pełnego żaru młodego naukowca i dydaktyka. Tak więc tu pozwolę sobie przytoczyć fragment, w którym bohater mojej opowieści, student matematyki, opowiada o swoim uczestnictwie w wykładach podziwianego Artura:

Przyzwyczailem się już do tego, że kiedy Jarek niespodziewanie odwiedzał mnie w mieszkaniu cioci Wali, wnosił ze sobą nie tylko rozmaite rewelacje, ale najczęściej jakieś projekty, propozycje, plany wspólnych działań w coraz to innej dziedzinie. Nieraz musiałem się mocno bronić przed jego kosmicznymi pomysłami, ale w mniej ryzykownych przedsięwzięciach ulegałem, nawet jeśli nie byłem do końca przekonany, czy to ma sens. Zdawałem sobie sprawę, że każda odmowa rani Jarka dogłębnie i że potem na długo wycieka z niego cała energia. W końcu zawsze wracał do swojej normy i był gotów coś nowego wymyślić. I tak zmusił mnie swego czasu do oddania krwi dla walczących Węgrów, zdopingował do treningów gimnastycznych u mgra Szczurka, powłókł z grupą polonistów na wycieczkę szlakiem Żeromskiego, a innym razem do Krakowa na wystawę malarską Wyspiańskiego. Ciągał mnie po kinach w Toruniu i po teatrach Warszawy, gdzie coraz to była jakaś nadzwyczajna premiera. Moje uwagi, że muszę też trochę zajmować się matematyką, bo to ma być mój chleb, i że taka gonitwa po rozliczne wrażenia artystyczne czyni mi okrutny zawrót głowy, zupełnie do niego nie docierały.

Kolejne spotkanie rozpoczął od wywiadu.

– Powiedz mi, co robisz, czy masz jakieś zajęcia w środy, w godzinach od dziesiątej do dwunastej?

– Mogę wiedzieć, po co ci ta wiedza?

– Oj, nie denerwuj mnie! Jeśli się okaże, że masz czas zajęty, to nie mam wtedy o czym mówić.

– No to może od razu ci powiem, że mam zajęty. – zobaczyłem jego minę i szybko się wycofałem – Nie, nie, nie...! Ratunku! Nie bij! Zaraz sprawdzę... No mam okienko właśnie. Co mamy zrobić w tym czasie? Napadniemy na bank?

– Na bank innym razem. Teraz chciałbym, żebyś posłuchał faceta, który mówi o literaturze jak nikt.

– O, to coś nowego. Matematyk na wykładzie filologicznym.

– Nic nowego, bracie. Wiesz, kto oprócz polonistów przychodzi na te wykłady? Fizycy, astronomowie, a i jacyś matematycy też są. Ciekawe, że ci nie powiedzieli. Oczywiście, przychodzą też i inni humaniści: historycy, psychologowie et caetera. Tak więc nie będziesz pierwszy i na pewno nie ostatni.

– Dobrze, dobrze... przyjdę. W końcu z Minusa do Majusa jeden krok. Powiedz, w jakiej sali i jak nazywa się ten wykładowca.

– To jest docent Artur Hutnikiewicz. Oczywiście ma ksywę, a nawet dwie. Ci mniej zaurazeni mówią Hutnik, a ci zakochani – Artur.

– A ty do jakich się zaliczasz?

– Ja do tych zakochanych.

– No... no...

– Co no no? Jak przyjdiesz, będziesz miał okazję należeć do zakochanych.

Oczywiście, w najbliższą środę poszedłem na ten wykład, usiadłem w pierwszym rzędzie, który z niewiadomych przyczyn zapełniał się najpóźniej. Przyjrzałem się Arturowi. Szczupłej postury, twarz z pozoru ascetyczna, po bliższym wniknięciu wydawała się pełna wyrazu. Spojrzenie mądrego człowieka zdradzało jednocześnie jakiś liryzm i skrzętnie skrywaną wrażliwość. Wyraziste, ciemne brwi dodawały tej twarzy powagi. Spojrzałem na boki. Oprócz mnie w tym rzędzie siedziały same dziewczyny. – Pan docent powinien się mieć na baczności. – pomyślałem.

Tak jak powierzchowność wykładowcy, tak i wykład nie rozczarował mnie. Słuchałem z rosnącym zainteresowaniem przekazywanej wiedzy o strukturze dzieła literackiego i jego wewnętrznej logice, o właściwej motywacji działań postaci literackich, która daje poczucie prawdy, a jej brak poczucie fałszu. Dowiadywałem się, czym jest deformacja świata realnego w sztuce i jakie to ma uzasadnienie.

Wiadomości te natychmiast pobudziły we mnie myślenie o tym, co już przeczytałem, a sceny i motywy nie do końca zrozumiane powracały teraz do mnie oczyszczone z tych niejasności. Z kolei zwróciłem uwagę na styl i ogólny sposób mówienia Artura (bo zgodnie z przewidywaniem Jarka też już byłem urzeczony). Chwilami miałem poczucie, że jestem na wykładzie matematycznym. Brało się to z jasności, logiczności i dużego ładunku w przedstawianej treści, ale w tle czuło się jakiś żar, jakieś prawdziwe przeżycie człowieka, który dobrze wie, dlaczego naprawdę kocha tę najszlachetniejszą ze wszystkich sztuk.

Zacząłem chodzić na te wykłady regularnie, a Jarek rozochocił się i zaczął mnie namawiać, żebym zaczął studiować równoległe polonistykę.

– Co to dla ciebie! – mówił. – Jesteś wszechstronnie zdolny. Czy to nie fajnie mieć dwa dyplomy? Powiedziałem mu, że sam może też mieć dwa dyplomy i studiować na przykład sztuki piękne, skoro na zajęciach studium wojskowego zajmuje się malowaniem różnych obrazków.

Przeczekalem jego zly humor po tej wypowiedzi i na koniec podalem argument zasadniczy na nie.

– Co ty chcesz? Żebym chodzil na te wszystkie zajecia filologiczne, ktore mnie nie interesuja? Wyklad Artura to cos zupełnie wyjątkowego. To wiedza podawana w formie poezji. Tego się słu-cha! A poza tym ja nie chcę studiować literatury, ja chcę ją tylko i wyłącznie przeżywać.

Tak, tak, to co swoim słuchaczom z żarem podawał Artur Hutnikiewicz, to właśnie i wie-dza, i przeżycie.